

Kurier Wileński | Kawiarnie, restauracje i inne lokale w Wilnie (3)

Mieczysław Jackiewicz

W pobliżu sądów, tuż przy Placu Łukiskim była restauracja „Udziałowa”. Tam, jak wspomina Kolator, głównymi klientami byli sędownicy. Podawano kapuśniak i wieprzowinę gotowaną, smażoną — jak kto woli. Doskonała też była sztuka — mięs z rurą. Podawano chleb razowy i sól do szpiku oraz kufel żywieckiego piwa.

W uliczce bocznej od ulicy Adama Mickiewicza, w miejscu, gdzie później, za Sowietów, działała restauracja „Dainava”, był „Dworek Szlachecki” — restauracja wyższej kategorii, gdzie, jak wspomina Kolator, „menu — jak i w innych dobrych restauracjach wileńskich, ale atmosfera, taka jakaś specyficzna, taka domowa. Stary stylowy dworek, sufit belkowany, ściany wyłożone boazerią z ciemnego drzewa, pod sufitem biegną dookoła półki, a na nich ozdobne talerze i różne naczynia. Meble stylowe, ciemne drzewo, ale najpiękniejszą chyba ozdobą lokalu — kelnerki. Dorodne piękne panny w strojach ludowych, pasiaste spódniczki, haftowane bluzki, pęki wstążek i wiązki koralu na szyi. Panny uśmiechnięte, powabne i godne. Podają jak na prywatnym przyjęciu. Nie czuje się tu restauracji, jest się w gościach u znajomych. Atmosfera gościnnego dworu. (...) Kelnerki rekrutowały się z drobnej szlachty zagrodowej, miały one godny sposób bycia, miały swój styl”.

Przy ulicy Jagiellońskiej, tuż za domem handlowym Braci Jabłkowskich, była restauracja dla plebsu. „Tam — pisze Kolator — jadali szoferzy; kapuśniak, odpowiednia porcja wieprzowiny i wódka wyborowa oczywiście”.

Jeśli się szło ulicą Zamkową, to wilnianie wstępowali do restauracji Januszkiewicza, gdzie można było zamówić żywą rybę z akwarium, zjeść wędzonego węgorza, łososia, sterleta, kawioru czerwonego czy czarnego. U Januszkiewicza głównie podawano dania rybne. Dalej w kierunku Ostrej Bramy była restauracja w hotelu „Bristol”, dziś mieści się tam „Astoria”. Tam podawano prosię z kaszą gryczaną, a także pstrągi z wody. W suterenie „Bristolu” był bar „Kazbek”, gdzie wilnianin mógł zjeść oryginalny szaszłyk kaukaski.

W „Italii” był istny raj rybny i szczególnie uprzejma obsługa, A. Kolator wspomina: „Rybkę szanownemu panu? Jak pan życzy? Może być koszerna. Może sielawka, tylko trocka”. Do rybek w „Italii” podawano różne nalewki.

Przy ulicy niemieckiej słynęła restauracja „Savoy”. Kolator wspomina: „Trzeba było przejść przez wybrukowany kocimi łbami, trochę obskurny dziedziniec, niepozorne wejście, nawet można powiedzieć mało zachęcające, ale za to miejsce dyskretne, jeśli się nie chce pozostawać na sali ogólnej można wziąć gabinet, nie będzie drożej kosztować, a flaki z pulpetami w Wilnie — jedyne! Gabinety są dosyć obszerne, jest w nich zazwyczaj kozetka albo całkiem wygodna kanapa, można się na niej wygodnie rozsiąść, wypocząć. Flaki, jak i wszystko inne podlewa się czystą wyborową, panie woła »luksusową«, ale to za delikatne na męskie gardła”.

Żydowską wódkę „pejsachówkę” amatorzy alkoholu mogli znaleźć w restauracji „U Wełki” przy wąskiej ulicy Żydowskiej naprzeciwko kościoła św. Mikołaja. Tutaj podawano szczupaka po żydowsku i inne dania



W uliczce bocznej od ulicy Adama Mickiewicza, w miejscu, gdzie później, za Sowietów, działała restauracja „Dainava”, był „Dworek Szlachecki”
Fot. Marian Paluszkiewicz

rybne przyrządzone żydowskim sposobem. Klientami restauracji „U Wełki” byli przeważnie współwyznawcy gospodarza, ale też chętnie bywali tu także chrześcijanie, amatorzy żydowskich dań.

Anna Jędrychowska w książce *Zygzakiem* i po prostu wspomina, że studenci chętnie jadali „w knajpie »Pod Dwunstką« na malowniczym, chociaż słabo oświetlonym i niecieszącym się dobrą sławą zaułku Sawicz. Knajpa była wątpliwego autoramentu, przesiadywali w niej dorożkarze, a także panienki nie tyle wątpliwej co wyraźnie zdefiniowanej opinii. Czerwone pluszowe gabineciki byłyby nawet dość przytulne, gdyby nie pluskwy i toczące się w soczystym narzeczcu kłótnie dorożkarskie. »Pod Dwunstkę« zachodzili członkowie STO (Sekcja Twórczości Oryginalnej — M.J.) w męskim gronie, jedynie w drodze wielkiego wyróżnienia prowadząc którąś z najbardziej zaprzyjaźnionych koleżanek, aby pokazać jej nocne życie miasta”.

Autorka *Zygzakiem* i po prostu wspomina jeszcze jedną wileńską restaurację, gdzie chętnie przebywali studenci USB. „W modę weszła inna skromna restauracja. Na ulicy Królewskiej (dziś Barboros Radvilaitės — dop. M. J.), w pobliżu zaułka Oranżeryjnego i naprzeciw romantycznego Cielętnika, znajdowała się knajpa, w której pożywiali się malarze i rzeźbiarze z pobliskiego wydziału sztuk pięknych. Niejeden z nich jadał na kredyt, korzystając z sympatii właściciela do cyganerii artystycznej. Pewien malarz, zadłużony po uszy, nie mógł uregulować należności i wzorem dawnych bractw artystycznych pokrył ściany knajpy malowidłami al fresco.

Pewnego wiosennego wieczoru Miłosz, Bujnicki, Jerzy i Stefan Zagórscy, Dąbrowski i Jędrychowski zaszli do knajpy na małe piwo. Przedziwne rysunki na ścianie wzbudziły w nich nieopisany zachwyt. Stefan Zagórski zaintonował równie piękną, jak i niecenzuralną pieśń rosyjskich studentów: „Arbuz na słońce lubit zret!”

„Ała werdy...” — podchwycili towarzysze.

Przy akompaniamencie tej piosenki oraz innych jej podobnych narodził się Klub Intelktualistów. Knajpa znajdowała się w pobliżu Kurii Metropolitalnej. Intelktualiści byli gorącymi wielbicielami Boya. Knajpie nadali więc nazwę »Pod Konsystorską Dziewicą«”.

Był jeszcze w Wilnie lokal specjalny, należał do ciotki Rózi przy ulicy Mostowej pod numerem 19. w dziedzińcu, w jednej z paru oficyn. W oficynie obok — pod tym samym numerem — mieszkała z rodzicami i bratem panna Lilka Szerszyńska, uczennica gimnazjum im. Orzeszkowej, czyli tzw. „orzeszkówka”. Ojcem chrzestnym jej brata i przyjacielem jej ojca był jeden z proboszczów Ostrej Bramy. Na początku swego pobytu w Wilnie wybierał się do państwa Szerszyńskich i podał dorożkarzowi adres: Mostowa 19, pytając, czy wie, gdzie to jest. Na to dorożkarz:

— Panoczku! Toż tam koń sam stanie.

Alfred Kolator, opisując kawiarnie i restauracje wileńskie, nie mógł pominąć zakładu ciotki Rózi: „tam bywały żubry i wysokie oficjały. Gdy patronował policji energiczny, ale dobry pułkownik Proszałowicz, wszystko było w porządku, pito tam mocną czarną kawę, dobre koniaki francuskie, panie preferowały likiery, ale pech chciał, że zjawił się jakiś gorliwiec i o, zgrozo, oskarżył ciotkę Rózię o uprawianie nierządu.

— Nierząd! Kto słyszał? Takie słowo! — i tu ciotka Rózia wymienia nazwiska niektórych swoich klientów i stałych bywalców. — Ja się pitam, Wysoki Sądzie, czy pan Kirtiklis to jest rząd, czy nierząd? U mnie bywa tylko rząd!”. Stefan Kirtiklis (1890-1951), major WP, w latach 1928-1930 wicewojewoda wileński, w latach 1930-1931 — wojewoda wileński.

Lokal ciotki Rózi wspomina też, oczywiście z humorem, Anna Jędrychowska. Opowiada, że „znana była w Wilnie opowieść o malarzu, który otrzymał od pewnego obywatela ziemskiego zamówienie na portret. Obstalunek wykonał, ale szlagonowi nie spodobał się ów portret. Odmówił zapłaty i nie przyjął



Był w Wilnie lokal specjalny, należał do ciotki Rózi przy ulicy Mostowej pod numerem 19... Fot. Marian Paluszkiwicz

niefortunnej jego zdaniem podobizny. Malarz wypożyczył obraz tak zwanej cioci Rózi, znanej w Wilnie właścicielce domu o charakterze, który trudno byłoby nazwać prywatnym, jakkolwiek jego lokatorki podawały uporczywie w czasie spisu ludności w Wilnie, że trudnią się manicure'em.

Pewnego dnia ów szlagon przyjechał do Wilna i zamierzając prosić o manicure, wszedł do salonu cioci Rózi. Na ścianie na reprezentacyjnym miejscu ujrzał zawieszony w całej okazałości własny portret. Wybuchła awantura. Ciocia Rózia nie chciała zdjąć ze ściany obrazu, który był jej zdaniem dziełem sztuki i wspaniałą ozdobą salonu. Podała, że zapłaciła za niego słoń sumę. Szlagon powędrował do malarza, ale ten chłodno oświadczył, że portretowany miał prawo pierwokupu, skoro zaś z prawa tego nie skorzystał, artysta mógł sprzedać obraz. Szlagon wrócił do cioci Rózi i wykupił portret, dopłacając marżę zarobkową rzekomej właścicielce.

Lokal cioci Rózi znany był nie tylko szlagonom i studentom, lecz także wileńskim wiarusom. Belniak i łupaszkiwiec to jest dawny żołnierz rotmistrza Jerzego Dąmbrowskiego-Łupaszki, krawiec męski, pan Rynkiewicz chętnie opowiadał o tym lokalu mężczyznom z ulicy Połockiej.

Siadywali sobie panowie wieczorami na ławce pod krzewem bzu: Komarowski spod nr 11, przychodził Korsak spod 13, czasami, kiedy był trzeźwy, przysiadł się do sąsiadów Burlak Andrejew. O swoich przygodach w lokalu cioci Rózi lubił chwalić się pan Rynkiewicz. Rozmowom starszych panów przysłuchiwali się chłopcy z podwórka.

A pan Rynkiewicz opowiadał o lokalu cioci Rózi przy ulicy Mostowej, niedaleko Zielonego Mostu.

— Znaczy sia, panowie, jest tam Mańka — nieładna, chuda, ale namiętna jak sto diabłów. Jest i Helenka, ognista brunetka, ale ciążuska. Jest Irenka, może najlepsza jeszcze nie rozwinięta chyba z piętnaście lat dla amatora. Ja takich siusiumajtek nie lubię. To dobre dla starych przyków. Wiecie, ja burdele traktują tylko jak lokali rozrywkowe. Ot pogadać przy winku. Mańka gra nieźle na gitarze, ma miły głosik. Kuźdy taki lokal ma swoisty nastrój. Pałac cioci Rózi wcale nie najgorszy. Na Mostowej on znaczy sia, ale trzeba postukać do drzwi i poczekać, bo Rózia nie kuźdemu otworzy. A jak już wejdiesz, to wal do Mańki. Ona po rusku cygańskie romansy pod gitara zaśpiewa, a jak śpiewa — aż dusza płacze.

— A ileż kosztui taka wizyta u Mańki? — zapalił się Burlak Stiepan.

— Nu, musi 5 złoty musisz dać... — odparł pan Rynkiewicz.

— Tak etoż pońny razboj na rownom miestie — pokręcił głową Stiepan — eto udowolstwije dorogo stoit...

— A Ty, Ruski, czto dumal? Żadnost' gubit frajera... Słyszał takoje? — zakończył swoją opowieść pan Rynkiewicz, wstał i już skierował się ku bramie, gdy coś sobie przypomniał i zwrócił się do siedzących jeszcze na ławce mężczyzn:

— Ali, panowie, jak nie licz, jak nie kombinuj, to i tak kobieta, znaczy sie, jak ta cybula — kto jej rozdziewa, ten długo płacze...”.

Odc. ost.

Pocz. w nr. 13

02 wilno 1

